

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłosnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

31 *ciąg dalszy.*

— Cóż mam zrobić? Uwolnić nie mogę w żaden sposób... a masz mi wyprawiać takie sceny, wolę wyjść z domu — wstał.

— Ani się waż, zawołała ostro, — bo będzie nieszczęście.

Usiadł na dawnym miejscu, zapalił papierosa i patrząc w okno, przez które wpadało światło chmurnego dnia, milczał.

Żona wstała i całując go w czoło, prosiła dalej:

— Nie gniewaj się... uniosłam się cokolwiek... więc nie możesz jej uwolnić?

— Nie... sąd rozstrzygnie.

— Ale to chyba możesz zrobić, aby obchodzono się z nią dobrze?

— Nie bój się, nie skrzywdzą jej.

— Każ jej dać osobną celę, własną pościel i żywność z miasta.

— To mogę zrobić... dla świętego spokoju — wstał z krzesła.

— Idziesz zatelefonować? Dziękuję ci, to bardzo dobrze.

— No, nie miałem tego zamiaru, ale niech będzie.

— I wrócisz?... — zawołała za odchodzącym.

— Dobrze — a gdy wrócił, rzekł z westchnieniem ulgi:

— Już poleciłem.

— A teraz mam do ciebie prośbę...

— Jeszcze... tego już za wiele! — zawołał z gniewem.

— A zaraz krzyczysz!... Zaczekaj chwilę. To, co zrobiłeś, to zwykły ludzki obowiązek, a proszę cię o to, aby ona była szybko przesłuchana i oddana pod sąd.

— Hm... jeśli chcesz koniecznie, zrobię i to. Poszłę mego urzędnika,

— A kogo?

— Jeśli mi przyrzekniesz... a zresztą poszłę pierwszego z brzegu.

— Jeszcze jedno... powiedz mi nazwiska sędziów.

— Na co ci?

— Jeśli ty nie chcesz stanąć w obronie niewinnej dziewczyny, pójdę sama, a nie powiesz mi nazwisk, zawsze się dowiem.

— No, no, daj spokój... sam wyjaśnię.

— Pamiętaj, że przyrzekłeś!

— Wiem... ale Maryo Pawłówno te dzisiejsze przysmaki drogo mnie kosztowały.

— Mój kochany, czyż ci żal, że spełniłeś dobry i szlachetny uczynek?

— Et, nie dogadam się dzisiaj z tobą — machnął ręką i wyszedł.

Matka poszła do Koli i uwiadomiła go, że ojciec telefonował do ratusza o ulgi dla uwięzionej, że wyszł swego urzędnika, aby śledztwo przyspieszyć i sam wstawi się za nią u sądu wojennego.

Kola nie spodziewał się tak świetnych rezultatów z pośrednictwa matki i uszczęśliwiony, uściśkał i wyciskał matkę.

— Idę teraz do jej brata... jednak ojciec nie jest taki zły; ależ mama musiała się naprosić...

— Nie tak bardzo... po wyjaśnieniu sprawy i gdy mu powiedziałam, że tobie tak zależy na siostrze przyjaciela, zgodził się, bo on dobry i kocha ciebie...

— Dziękuję mamie... i ojcu podziękuję.

— Wiesz Kola? Lepiej nie poruszaj tej sprawy...

ROZDZIAŁ X.

Wanda w czasie pochodu do ratusza szła dumna, wyprostowana, spoglądając na przechodzącą publiczność obojętnie, szukając wśród niej twarzy znajomej.

Publiczność na trotuarach przystawała, zaciekawiona konwojem, a do uszu przechodzących więźniów dolatywał szmer współczucia i westchnienia; zwłaszcza widok Wandy, młodej, ładnej, wyróżniającej się wśród otoczenia ruchami i ubraniem, budził współczucie ogólne.

Już wieczorem, przy palących się latarniach,

doszli do ratusza, gdzie w otoczeniu żołnierzy stali dosyć długo, póki dyżurujący urzędnik po przeprowadzonej rewizji nie oddał ich dozorczy więźniów.

— Gdzie ja ich pomieszczę — mruzczał gniewnie dozorca — pełno ich u mnie, jak śledzi — i rozdrażniony, patrzył zły na więźniów.

Gdy nadeszli stróże więzienni, krzyknął:

— Te dwie — wskazał na Wandę i malarzową — daj do wspólnej celi.

— Może będzie ciasno? — zrobił cichą uwagę.

— Nie twoja rzecz, durniu, ruszaj!

Stróż poprowadził je na wąski, parterowy korytarz, włożył klucz do drzwi, zamek zazgrzytał, i otwierając drzwi:

— Żywo... ruszajcie się — popchnął wahającą się Wandę i malarzową.

Równocześnie z głębi celi podniósł się krzyk kobiet:

— Niema miejsca!... Dusimy się!... Nie wpuścić ich!...

— Milczeć szelmy! — zawołał stróż, zatrzasnął ciężkie drzwi i znów zazgrzytał klucz w zamku.

Wanda i malarzowa, trzymając się za ręce, stały w celi bezradne, nie mogąc na razie z powodu słabego oświetlenia nic dojrzeć. Kłębiły się jakieś niewyraźne postacie, a narzekania na ścisk nie ustawały.

W powietrzu czuć było wilgoć, brud stary, wyziewy kwaśne i alkoholiczne, pomieszane z wydzielinami ludzkimi. Wanda nie mogła oddychać na razie, czuła mdłości, drapanie w gardle, pieczenie w ustach i zaniosła się od kaszlu.

— To ci dama — zaśmiał się ktoś chrypliwie — nie smakują jej perfumy tutejsze... Przyzwyczaisz się!

Inne kobiety wtórowały, a jedna z nich z pijacką twarzą, podeszła do Wandy i biorąc jej paltoć w palce:

— Powiadam wam, elegantka; a który chłop kupił ci to... daj adres, pójdę do niego.

— Wyrzuciłby cię na łeb — zawołała inna i zbliżywszy się, obmacywała suknię, druga kapełusz, trzecia, podniósłszy suknię, oglądała buciki.

— Fajna bunia — krzyknęła któraś — a gdzie cię capnęli, z chłopem? czy kradłaś?... Czyś niemo-wa?

— Proszę was... odsuńcie się... — prosiła Wanda.

— Patrzcie na tę smarkulę, ona mówi do nas wy! A mażo jakaś, że ci chłopcy kupią suknię, nie poniewieraj porządnych kobiet.

Równocześnie oglądano malarzową, ta jednak była tak zgnębiona i przybita, że broniła się tylko leniwymi ruchami. Dopiero, gdy jedna z nich trąciła ją silniej, oprzytomniała, a widząc obskoczoną Wandę:

— Dajcie panie spokój... nas obie zabrano na wiecu kolejarzy.

— Nie nam zawracać kontramarkę — zaśmiała się wysoka, koścista kobieta z beczelną twarzą — politycznych nie wsadzają do tego ula!

— Prawda! Prawda!

Oczy Wandy przyzwyczaiły się do tego półmroku, dojrzała tapczany pod ścianami i pociągnęła malarzową ku tapczanowi.

Zaledwie się zbliżyły, gdy nadbiegła jedna z uwięzionych, potrafiła silnie obie i wrzasnęła:

— To moje legowisko, precz! idźcie do rynsztoka spać!

— Albo do kubła — zaśmiała się inna.

— Do kubła z niemi!... — krzyknęła pijacka.

Inne zanosły się od śmiechu, widząc przestrach Wandy i malarzowej i udawały, że mają zamiar zaprowadzić je do kubła.

To brutalne zachowanie się tych mętów wielkomiejskich na razie odurzyło i onieśmieliło Wandę, ale wobec ciągłych napaści i cynicznych żartów oświadczyło ją oburzenie i zawołała głośno:

— Dosyć tego! Co my wam złego zrobiliśmy?

— Jesteśmy tak samo więźniami, jak wy, dla czegoż nas krzywdzicie?

— To racja — odezwał się głos z kąta. — Dajcie spokój, idźcie spać.

— Cały dzień gniesz na tapczanie, milcz choro!

Jednak odezwane się Wandy zbudziło w tych istotach zepsutych, znieprawionych i zezwierzęconych coś w rodzaju echa sprawiedliwości. Zostały je we względny spokój, zaczęły się układać na twardych, nagich tapczanach.

— A takiej damie czego się chce? — zawołała jedna.

— Poduszki i chłopca, hej!

Któraś z nich zaśpiewała ochrypłym głosem beczną swym cynizmem piosnkę, co pobudziło do śmiechów i podobnych żartów.

Wreszcie jedna z kobiet, podparłszy głowę ręką, zawołała:

— Dajcie mi złotówkę, a pozwolę wam usiąść na mojem łóżku.

— Przy rewizji zabrano mi pieniądze — odpowiedziała Wanda — ale jutro wam dam napewno — zbliżyła się do leżącej, lecz widząc jej wstrętne łachmany, odstąpiła o krok.

— Niema głupich czekać jutra... Pewno po ciebie przyjedzie karetka i uciekniesz z moją złotówką.

— Za złotówkę i ja pozwolę!... — zawołała druga.

— Widzisz ją, ty ścierko żydowska, ja pierwsza odstąpiłam za złotówkę!

— A ty... — i posypały się wyzwiska.

Malarzowa szepnęła Wandzie:

— Schowałam kilka złotych, chyba dam, bo zemdleję ze zmęczenia.

— Wybierzcie możliwy — odszepnęła.

Wreszcie malarzowa zgodziła się z jedną, która za dwadzieścia groszy odstąpiła pół tapczana.

Zegar ratuszowy wydzwonił jedynastą godzinę, w celi zrobiła się względna cisza. Ustały wprawdzie krzyki i śpiewy, ale szepty trwały, jedne wzdychały, inne dławiała czkawka, dusił głęboki kaszel, odzywało się chrapanie i czochranie ciała i ubrań.

Od czasu do czasu po brudnej, zaplwaney podłodze przebiegały ze szmerem karakony, wielkie, czarne, z tłustym odwołkiem. Zatupał szczur, świecąc drapieżnemi oczyma.

Na odgłos wymiotów pijacki wszystko pierchało, aby po chwili biedz po żer.

Wanda to wszystko widziała, wstrząsały nią dreszcze wstrętu, owijała się suknią ściślej, podnosiła nogi w górę, lecz wkrótce spostrzegła z przerażeniem, że i po tapczanie, po ścianach, roi się od karakonów, prusaków, stonogów, pluskiew.

Od czasu do czasu śmielsze osobniki wylaziły na nią.

Malarzowa, zmęczona przejściami dnia, usnęła i tylko chwilami jęczała i padały łzy z zamkniętych oczu.

Przed Wandą stanął obraz jej sypialnego pokoju, widziała Logikę, Władka, Kolę...

Jak tam było dobrze, cicho, spokojnie, wesoło; a tu! Wzdrygnęła się, gdyż o jej rękę otarł się szczur wielki, tłusty...

Ach, to więzienie!

Porównywała swe wyobrażenia z rzeczywistością; co za różnica!

Więzienie przedstawiało się jej jako cela cicha, czysta, z okienkiem zakratowanym. Jest samotna ze swemi myślami, biorą ją na śledztwo, odpowiada śmiało, zwieźle, tak że w sędziach budzi szacunek.

A tu!?

Te okropne kobiety, ich śmiechy, drwiny, wstrętne rozmowy i ten brud, te owady, ten straszny zaćmach!

Po przejściach dzisiejszych, zwłaszcza w celi, poczuła gorączkę, paliło ją pragnienie; ostrożnie, cicho, podeszła do kubła z wodą, lecz gdy się nachyliła, uderzyła ją taka woń zgnilizny, że wzdrygnęła się i odstąpiła od naczynia z wodą.

Pod nogami odezwał się trzask rozgniecionych owadów, a odurzające wyziewy przyparły ją o mdłości; z trudem dowlokła się do tapczana, w uszach poczuła szum, przedmioty i cała cela zaczęła się wahać, poruszać, a w tem poczuła na twarzy zimne, ostre łapki karakona, pochwyciła go i odrzuciła od siebie, a odczute obrzydzenie przemo-gło omdlenie.

Spoglądając na swe otoczenie, na grube mury, zakratowane okienko, miała wrażenie, że to więzienie oddzieliło ją na zawsze od słońca, powietrza, ludzi; że ten jej dawny świat pozostanie dla niej wspomnieniem, a świat, w którym będzie żyła, to zakratowana cela i takie ohydne otoczenie. Tam na dawnym jej świecie żyje Władek, Logika, Kola, Porwa i czy też oni domyślają się, czy prze-czuwają, w jakim ona więzieniu. Zapewne myślą, jak ona dawniej, że śpi w czystej, spokojnej celi; że sąsiedzi pukają do niej, cieszą się nowinami ze świata, że widzi tych i owych poprzez kraty, na dziedzińcu więziennym pozdrawiają się, współ-czuja ze sobą. O dziecinne złudzenia! — uśmiech-nęła się gorzko.

Kto też o niej myśli? Kto szuka dróg ratunku?... Władek napewno... Logika?... Ta pożałowała